Rok III. Warszawa-Kraków, dnia 30. października 1911. № 48.

PRZEGLĄD KRYTYKI ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

Wychodzi w odstępach czasu 20-dniowych pod kierownictwem
Józefa z Rozprzy Krobickiego.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 125.

PRENUMERATĘ w cenie 1 rb. kwartalnie przyjmują wszystkie księgarnie. Artyści, literaci i wogóle pracownicy na polu oświatowem—płacą połowę. Cena pojedyńczego numeru: 20 kop.
OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogłoszeniowych i agentów.

Treść numeru:

* * *



ZYGMUNT LUBERTOWICZ.

Kazimierz Tetmajer — Twórca cyklu „Na Skalnem Podhalu“, jako epik Tatr.

(Ciąg dalszy).

W przebogatym w bohaterów tetmajerowskim cyklu „Na Skalnem Podhalu“ zmieniają się typy, jak w kalejdoskopie—i aby się im bliżej przyjrzeć i osądzić, czy rzeczywiście objęły one przejawy żądz, a zarazem i tęsknoty, czy odruchu do jakiejś wyższej idei--pierwotnej duszy ludzkiej, należy je uporządkować i zacząć od najpierwotniejszych, jak Krystka, Orlice, Dziki Juhas z. Jurgowa, Łuszczykowie i inni. Typy te odpowiadałyby najstarszej epoce, opiewanej w pieśni ludowej, jakby epoce czasów lodowych, gdy dusza jeszcze spała, a żyły tylko żądze.

U innych już przebijają się pewne uczucia społeczne, albo pewne ideje wyższe, piękniejsze, tworząc nieraz kontrast tak przedziwny, jak np. piorunowa porywczość Wojtka Chrońca i to jego potem samowolne przyznanie się go winy i żądanie kary, jak drapieżność Sablikowej duszy, i to jego umiłowanie dzikiego piękna gór, umiłowanie pieśni i muzyki, jak zbójowanie Janosika, i te jego romantyczno-bohaterskie marzenia. Są-to nieraz postaci przepiękne i ogromnie tragiczne, jak Maryny z Hrubego, a zaliczyłbym tu i olbrzyma-mocarza Gałajdę, z zawodu zbója, a z ducha dziecko nieledwie, zaliczyłbym całą rzeszę tych „rysich i żbiczych“ natur, jak Krzyś-dowcipniś, Marduła-elegant, rabuś sęp tatrzański, a taki dobry dla starca z Leśnicy w więzieniu. Natury często drapieżne, krwiożercze, a w których duszy jednak coś świta.

I znowu trzecia galerja typów, już-to marzycieli—grajków, pieśniarzy, rzeźbiarzy-samouków, jak Jasiek Mosiężny, Zwyrtała, Maciuś, co gra Zubkosowym dziewkom na gęślikach, Wojtuś, rzeźbiący kozikiem, co uwidzi, jużto jakichś marzycieli-maniaków, jak Samek Zwidowac, postaci zepsutych i śmiesznych zewnętrznie, jak Józef Smaś, a na dnie duszy rzetelnych, uczciwych, u których jedno słowo „jak i u tego hań w górze nad obłoke“.

A wreszcie cała plejada postaci do cudu już pięknych, jak Matka, chłopi Chochołowianie i Bartek—z noweli „Za sytko“.

Już z wyliczenia tych typów i charakterów widać, jak ogromną jest wielostronność poety, jak szeroki krąg obejmuje. A zestawiliśmy obok siebie tylko typy pokrewne, bo chyba dusz i serc klasyfikować nie można.

Ale przyglądnijmy się tym duszom i sercom bliżej.

Najpierwotniejsze z nich bezprzecznie—to Krystka, Orlice, Dziki Juhas, Łuszczykowie...

Krystka wcale niema jeszcze duszy, niema kruszyny uczuć górnych-szlachetniejszych, to samica pierwotna, jak i Orlice, które są żądzą samą. Gdy płonie w niej żądza miłości, ona przejęta do szpiku, chucią bezmierną, a gdy spotyka opór w siwych oczach Jadwisi, wtedy jest dwoma chuciami, żądzy i pomsty, wstrząsającej nawet posadami gór kamiennych:

„Pockoj ty Jadwisiu, dziwce malowane,
Ino jo hań zajńdę po pod twojom ścianę!
Pockoj ty Jadwisiu, siwe ocka w tobie
Ino jo hań zajńdem tej nocy ku tobie!

Pockoj ty Jadwisiu, siwe w tobie ocy,
Jako sie krew w tobie po lesie potocy!
Potocy potokem, potocy sie rzekom,
Jako cie do truchły bielućko oblekom.“

I następuje tu potem krótka, straszliwa furja jej zemsty—„Oczy twoje fcem“ — i w mroku nocnym krzyk straszliwy, wstrząsający... To Krystka żagwią płonącą wypaliła siwe oczy Jadwisi do dna, a choć czynu jej wzdrygnęły się leśne polany i mrok leśny, nie odczuła ona żalu, ani trwogi, ale nieruchomego od zgrozy Jaśka w ciemny, szumiący las uwodzi...

Oto głąb, chłań duszy, a raczej żądzy pierwotnej, z której zawsze w duszy góralskiej coś zostaje i tkwi, a jest-to zawsze pełnia namiętności, czy ku złemu, czy ku dobremu się ona obróci.

Inna namiętność i żądza płonie w sercu takich Łuszczyków Jaskrawych. I to są dusze pierwotne, ale już chuć w nich płonie inna, chuć mordu, awantur, pożarów, może już nawet nie dla wina i złota, ale tak dla sytości, pełni wrażeń drapieżnych, dla dogodzenia tej krwi gorącej, co krwi pragnie. Oni przeto poczynają plejadę „rysich i żbiczych“ natur zbójeckich w nowelach Tetmajera, reprezentując zamarły już w dzisiejszych czasach, czas rabusiów i rozbójników tatrzańskich.

Galerja zaś tych typów różnoraka, wielobarwna, jak i ten świat który je stworzył.

I rzeczywiście, jak piorunowa burza przewijają się przed naszemi oczyma te orle i sępie natury, te serca tygrysie i dusze drapieżne, których świat cały kupi się głównie koło Janosika Nędzy Litmanowskiego. Oto Sablik zbój rabuś-myśliwiec nad myśliwcami, pieśniarz, gęślista, tanecznik. Oto Krzyś, dowcipniś-lubieżnik, Marduła, rabuś-złodziej drapieżnik, Gałajda zbój-olbrzym, z duszą dziecka, Maryna z Hrubego, łotrzyca, a miłośnica nieszczęsna, heroizmu pełna, bohaterka nieledwie, a wreszcie orzeł Tatr, Janosik, po orlemu górujący nad nimi idealizmem i szczytnością swoich dążeń.

Najdrapieżniejszym z nich, z natury już samej, to „Sablik“. Zbój, myśliwy, pieśniarz, tradycya starych czasów żywa, postać jakoby z granitu wykuta, prawdziwie epiczna, godna stanąć obok homeryckich bohaterów. W nim przedewszystkiem skrystalizowała się posępna dzikość świata tatrzańskiego, drapieżność pieśni ludowej i żądze pierwotnej natury. On to po dzikich turniach tatrzańskich pół wieku uganiał się za przygodami, awanturami, śmiercią zwierza, lub wrogich ludzi, gdyż po byle co, on nie szedł.

„Szedł wyzywać pustacie, drogi błędne i straszne, lasy i góry, zwierza groźnago i ludzi wrogich. strzelców przeciwników z za Tatr niemniej groźnych, szedł żyć calą pełnią swej junaczej, drapieżnej i rycerskiej duszy, zagrążyć się w Tatrach, które go wychowały.“

„Szedł na wicher, deszcze, śniegowe fujawice, spiekoty, mroki mgielne i nocne, na znój, pot, na trud swoich kolan, na ślizgie, śpiczaste kamienie, zdradne upłazy trawne, ostre sęki drzew, spadziste utrudzające ubocze i turnie ziejące przepaściami i śmiał się sam do siebie. Albowiem w tem wyrósł, to umiłował i nie rozumiał życia bez tego. Stary Sablik kochał zdyszenie się swych piersi, spojrzenie szukające oparcia dla stopy, kochał rozciągnięcie się swego ciała na palcach rąk, trzymających się ułamków skały i palcach stóp, opartych w szczelinie nad otchłanią, kochał zgrzyt piargów z pod kierpców, kochał wysilony zarzut ciupagi na konar w niechcącym puścić w górę gąszczu, krępującym głowę, ramiona, piersi, kochał wrąb jej w strom wyniosly, aby spocząć obok w kraju rysia i żbika, żmiji i kuny leśnej.“



„Drogą mu była ojczyzna jego duszy myśliwskiej i wędrownej, duszy skrzydlatej:“

„Szedł, aby mu wiatr w oczy i szyję gołą bił, na rozkosz nozdrzy i płuc do zimnego pędu powietrza nawykłych, szedł na radość rąk, gdy w rękawy od koszuli wiatr się wmyka, na pełnię życia skóry, gdy w twarz rzęsny, bystry deszcz siecze i jedna jej cząsteczka niezmyta, nieprzenikniona wodą nie pozostanie.“

. . . .

„Cieszył się na świst strzały swojej, na huk swej rusznicy, z której gładkiej lufy kula wartko i śmigle, a celnie leciała. Cieszył się na mierność swej ręki, na przykład do kolby, oka zmrożenie. Cieszył się na stuk swego toporka w ciszy gór i lasów.“

. . . .

Oto najwymowniejsza charakterystyka tego drapieżnego orła skalnego. Wyprawa jego na niedźwiedzia, za którymi tropił pół wieku, jest sceną epicką, niezrównanej prawie piękności, a walka tych dwóch śmiertelnych wrogów, znających się zdawna—wspaniała—gdy przychodzi między nimi do strasznego pojedynku.

W walce tej przy starym sępie tatrzańskim, który zwycięża sam — blednieje nawet taka postać, jak Wojski.

To też upojenie Sablika niema granic... Jak Wojski królewskim swym rogiem, tak on gęślikami swemi ogłasza turniom swój tryumf, ale krwawiej i drapieżniej. Gra dziką pieśń myśliwską gór i otacza dogorywającego potwora, wieńcem pokonanych przez siebie ofiar—niedźwiedzi, by się zwierzowi „letkcej konało“.

Zaprawdę wspaniały to epizod, dorównujący pięknością dziką, artyzmem i wykończeniem najcudniejszym ustępom wielkich epopei.

W takiego wielkoluda, w granitowy posąg starej tradycyi, wyrasta Sablik już na tle dzikiego tańca zbójeckiego, w prześlicznym ustępie z Janosika:

„Stary Sablik był hersztem, chąrnasiem, za charnasia tańcowi. Dokoła niego tańczono, dokoła jego trwającej starodawnej chwały. Było w tym tańcu uczczenie własnej i cześć siły dawniejszych pokoleń. Wiedział to Sablik i godnie się wyprostował, a głowę wzniósł. Czuł się jako pomnik na cmentarzu bohaterów, którym ich synowie, wnuki i prawnuki w męztwie i dzielności dorównać pragną. I wspominał w myśli owe tańce—kiedy on sam młodzieńcem będąc, koło innych starców zataczał. I wspominał owe tańce, które tańczył w turniach, lub puszczach leśnych sam, siłą, krwią własną unoszony i wyrzucany w powietrze, gdy skakał w górę i na nogach potężnych się kołysał z nadmiaru porywczej krzepkości.“

„Siwe, długie włosy z pod wązkoskrzelego kłabuka mu się rozwiały, raz po razu przez zęby wązkiemi wargami gwizdał i w takt dzikiej muzyki w miejscu nogi podźwigiwał, lekkie jeszcze i mocne, a na zmarszczoną jego, chudą, sępią, pełną bruzd głębokich twarz blask bił i cień upadał.“

„Tak wyglądał, jak leśny bóg mordu i pogromu. Zapach krwi dochodził mu do nozdrzy.“

„On lubił walczyć, mordować, zabijać. On całe życie na walce i krwi przelewaniu spędził.“

„I może to był ostatni wielki jego taniec, taniec, jakiego w życiu nie widział i nigdy nie zobaczy. Potok jego życia jakoby w jezioro się rozlał, w staw szeroki, płomień jego życia łuną wybuchł olbrzymiego pożaru...“

Wypowiada tu Tetmajer, podobnie, jak gdzieindziej nieśmiertelny mistrz—epik „Pana Tadeusza“, że i jego postać to jedna z tych „ostatnich“, na przełomie czasów, postać epiczna.



I zaiste godnym jest stary „Sablik“ stanąć obok mickiewiczowskich i homeryckich bohaterów.

A wieńcem. koroną żelazną bohaterskiej duszy starego orła tatrzańskiego, to jego śmierć — śmierć, jak i życie wśród gór, w zdradnych i mroźnych puchach śniegów tatrzańskich, śmierć przy dźwięku ulnbionej gęśli, śmierć wobec gór olbrzymów, które mu jedne równymi być mogły, a „ nikto inny.“

„Ej Sablik zaśpiewał, ej Krywań mu odpedział,
bo o jego sprawie nikt inny nie wiedział.“

I patrzmy jak umiera, bez żalu życia, bez bólu. czekając śmierci z rezygnacją, bo „hłopu nie honornie w pościeli umierać.“

„Przez dolinę śniegiem i słońcem zalaną, przez Dolinę Mięguszowiecką, rozległą nad Hińczowym stawem, pełnym niewypowiedzianej piękności, idzie śmierć...

Biała... Wysoka...
Przez śniegi biaie, pomiędzy krzewy kosodrzewu, między głazy...
Idzie wolno i słucha Sablikowej nuty—
„ej dyna! dyna, dyna—
Sablik widzi ją, patrzy na nią bez mrugnięcia powieki.
Tak musi być. Z Pane Jezuse niebees w karty gral.
Świat je jest taki, tak ułożony.
Nad każdem trza pomyśleć.
Wierchowiec życia krótki,
Ze dy kie umreć, to umreć.“

C. d. n.



JOACHIM LELEWEL.

Śpiewy historyczne Julijana Ursyna Niemcewicza, pod względem historyi uważane.

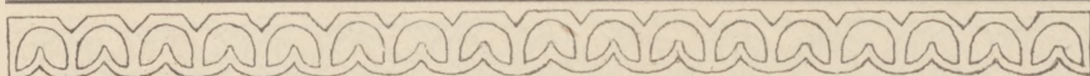
(Ciąg dalszy).

Upadek Polski.

Bez oporu, ostatecznie wszystko pokruszone przez stan szlachecki, a ciężary na inne stany spychane; pomyślność ćmiła złe w przyszłości wróżby. Stefan król wielkiego narodu, walczy z niesfornością jego, bez dochodów, uzyskując je, pokrzepił stan duchowny, zesłabłe z Rzymem związki odżywił Wypuścił z rąk Prusy, edukacją począł Jezuitom oddawać. Narzekano na pewny w przyszłości odrywek pośrodku królestwa położonego Xięstwa Królewieckiego, wzdragano się przyjąć, już stojącego jedną nogą na ziemi Polskiej zakonu, lecz w kanclerzu przemagało przywiązanie do pieczęci, nad chęć przekonania króla, że się szczerze o złe stąd skutki trwożył. (*Śpiewy hist. p.* 235.) A ta dłoń, co miała naród od nieładu i zguby dźwigać, nieprzewidywała jak plenne w klęski dla niego rzuciła ziarna.

Wśród najświetniejszych czasów, kiedy naywspanialej się cnoty i waleczność ukazywały, rozpoczął się oddawna zapowiadany upadek, który przez dwa wieki (od r. 1587. do 1795. lat 208), przeprowadzał nieszczęśliwy naród przez różne koleje i doświadczenia, nim się boleśnie spełnił, a tym boleśniej, że w chwilach, w których z długich cierpień i słabości do zdrowia przychodzić poczynał.

Dostał się tron elekcijny niedołężnemu królowi, który wypuszczał inne z rąk korony, ostatniej że jej utracić nie mógł, piastować nie umiał. Nie zdolny użyć



talentów narodu, obrzydły, psuł działania jego, wił nielad i swawolę w stanie panującym. Poczynały cierpić klassy niższe. Mieszkańcy uczuli bytność niestrudzonego zakonu: z nim król ścigał nietrzymających się Rzymu: zjadliwe straszydło prześladowania myśli i uczuć, ścicha dręczyło i nękało wszystkie narodu zakątki i stany, wyciskało boleśnie narzekania i wzajemne gwałty. Wszystek naród, dojęty nieznanymi dolegliwościami, we wszystkich cząstkach swojch poniechęcony: znamienite domy w niezgodach prześladowały się, poczynały się z sobą ubijać nawet i z tronem. Tron spodlony. A przy nieładzie i tych pierwszych narodu, krwią ziomków po wielekroć zroszonych konwulsjach, garstki wojska nieopłacone, napełniały kraj łotrostwem, przy tym i nieprzyjaciel zewnętrzny poczynał najpiękniejsze prowincje napaściami dotykać Okolona zaś Polska niechęcią lub nieprzyjaźnią, w stanie tak wzmagającego się nieładu. wyprowadzona została na pole sławy i bitew. Te Inflanty które pod opiekę wzięto, były pierwszym początkiem wojen; a panów szlachty za podnietą króla zagraniczne przedsięwzięcia, rozpaliły na trzech ścianach tęgi, dzielnie, ale dorywczo prowadzony, i niedostatecznie z powodu wewnątrz zepsutych rzeczy popierany bój. Świetne zwycięztwa. przyozdobiły smutne czasy, lecz Inflanty przeszły pod Szwedów, nad Wołoszczyzną opieki wyrzec się było p trzeba; na wschodzie zaprowadzić odnowione Gedyminowskie i Witoldowskie granice, ale się pokrzepiła tam potęga nowej tęgości nabywająca. Rozerwana była pod ów czas Europa straszliwym sposobem. Walczyły z sobą po królestwach fakcje i opinje religijne a w całym ogromie, szczepiło się chrześcjaństwo na dwie stronie: z jednej, dom Austrjacki stał na czele wiernie Rzymu trzymających się, inna, czas jakiś bez przewodzców, znajdywała takich w Anglji i Szwecji. W różnym sposobie, po różnych stronach Europy i kuli ziemskiej odnawiała się łamanina krwawa. Austrja wikłała małżeństwami tron Polski, podniecając w okół niechęci i nieprzyjaciół, narzucając ciężkie i drogo opłacane swe pomocy, przy wzajemnym, z jej polityki wynikającym wstręcie, nie przestawała wzdychać, do zagarnięcia pod swe berło narodu, którego się przyjacielem być uznawała: wojnę jego o Inflanty zamieniła w wojnę o interes Rzymu i plątała weń raz na raz Polskę, która tym sposobem wmięszana w sprawę zwaśnionego Chrześcjaństwa, w wielkiej części dolegliwie znosząc działania strony Rzymskiej, staje przecie przy niej, ubijaiąc się rzeczywiście o ujarzmienie Czech i Węgier, ściąga na siebie ciężkie wojny w interesie domu, który na nią ciosy zaostrzał, dla swoich widoków przyprawiał ją o cierpienia, do zguby popychał. Ani się te, głucho a skutecznie działające kroki z Zygmuntem III zakończyły. Władysława IV panowanie, było krótkim wypoczynkiem w rozwijaniu się kłębka, ostatnim promykiem, którym wielkość narodu błysnęła Tak spełzły pierwsze lat 60. (od 1587. do 1647.). Odezwały się przez ten czas wszystkie symptomata upadku, rozpoczęły czynnie swe działania; okazały wszystkie niebezpieczeństwa grożące, te wzrastały i pewniejszej postawy przybierały: a żadnych do ratunku środków.

Wewnątrz wzmagając się, szły rzeczy dalszym torem, a zewsząd zwaliły się klęski straszliwe. Ni ustawało prześladowanie i z tego wynikające skutki, gdzie się prześladowani braterstwa i narodowości wyrzekali, w ziomkach przykrzejszych nieprzyjaciół niż w najezdnikach widzieli, w tych ostatnich wybawicielów swojch z cierpień: nieustawały niechęci, i swawola, z tronem nieporozumienia i niewierność; stany niższe cierpiące, a z tych owe kozactwo, za największych królów tęga od wschodu i południa zasłona, urosłszy w lud liczny, krzywdzony od starostów i szlachty, religijnym prześladowaniem, czynnością Jezuicką dojmowany, rzucił się do broni. Połowa rzeczypospolitej napełniła się morderczym bojem pomtędzy jednejże krwi rodem, a ze stanu w jakim była Polska, innego końca być nie mogło, jak tylko w zupełnym jej poniżeniu lub wytępieniu ludu kozackiego. Roztoczyły się ztąd zniszczenia i rzezie. Kraj; na Tatarskie napaści otwarty. Opuścił nareszcie Kozacki naród opustoszałe ziemie i Polska tak z tej strony zwycięzką wychodziła. Nieskończona ze Szwedami Sprawa, podwakroć całe prawie królestwo w ręce Szwedzkie oddawała; a dom hołdownictwem zobowiązany, niegdy Jagiełłom powinowaty, od królów i narodu dobrodzieystw doświadczający, wziął się z nieprzyjacioły. Od wschodu wojska bądź po nieprzyiacielsku bądź w posiłkach, wielką część Polski napełniały: opuszczone z tamtej strony Smoleńsk i Kijów; a odnawiające się od południa gromy, oddały na czas długi pod moc Moszlemina Podole,

nałożyły na rzeczpospolitę hańbiący haracz. Nie ustawały ze strony Austrji zwykłe czynności, a jeszcze się zdawali król i Polska wielkie uzyskiwać imie, bo śpieszyli jej na ratunek, śpieszyli po raz ostatni rozstrzygać los karpatami oddzielonego narodu. Intrygowały wewnątrz przemożne domy, zwodziły krwawe ubijatyki, lub się do trybunałów ciągnęły. Obrady sejmowe swawolnie zrywane. Przy najstraszniejszych niebezpieczeństwach, tron na kaprys i domowe intrygi wydany, stał na przedaż, spodlony, coraz liczniejszych znajdywał kupców. Ośród klęsk, z tronu zstępujący król, odnawiał przepowiedzenia o upadku królestwa, wskazywał na ziemi świeżą krwią ogrzanej, gdzie będą wytknięte w pośród zbiegające się ościene granice. Niemy sejm dał koniec prawie nieprzerwanym klęskom. W przeciągu lat 70 (od r. 1647. do 1717.) piędzi ziemi niezostało, którąby po wielekroć krwią spluskana nie była. Rożorana strasznym zniszczeniem, wszelkiego rodzaju cierpieniem dotknięta kraina, już inną się stała. Ponikły miasta, w liche wioski pozmieniały, przy wyludnieniu zasoby bogactw wyprowadzone, środki bogacenia się zerwane.

(C. d. n.).



JÓZEF KROBICKI.

Dzisiejsze teatry galicyjskie — a warszawskie.

(Jakby w dalszej odpowiedzi p. Makuszyńskiemu na jego feljeton o Warszawie).

Już z natury mego temperamentu jestem prawdomówny... Lecz jeśli mówić mam o tym najwrażliwszym organie mojej miłości, którym jest teatr, to zgóry uprzedzić muszę, że nigdy nie ubiegałem się o zaszczytne stanowisko jakiegoś *objektywnego* w tej sprawie eunucha.. Moje wrażenia czysto podmiotowe zawsze mogą mieć jakąś prawdę inną, niż ją ma kto inny.

Nie mam więc za złe także i p. Makuszyńskiemu, że jego prawda o teatrze warszawskim jest inną, niż moja i niż wielu innych. Ale od p. Makuszyńskiego, jako autora wielu subtelnie wytwornych krytyk i książek „wesołych" i „smutnych" mam chyba prawo wymagać, aby dawał nam zawsze tylko największą sumę tego, co wogóle dać mogą jego kultura i talent, przemawiający z tych wyżyn uznania, których bałamucić nie wolno lekkomyślnem słowem. Bo trzeba tu odwrócić przysłowie łacińskie i powiedzieć, że *quod licet bovi, non licet Jovi,* co wolno jakiemuś reporterkowi „od złamanych mostków", tego nie wolno p. Makuszyńskiemu.

A tymczasem p. Makuszyński, zażywający opinii pierwszego we Lwowie krytyka teatralnego posługuje się nieraz tak płytko czerpanemi przesłankami, tak wytartych i tanich używając liczmanów w sądzeniu i określaniu wartości, że tych bezceremonialnych elukrubacji jego, które zamieszcza najpoczytniejszy dziennik lwowski, nie drukowałoby u nas żadne poważniejsze pismo.

Czy ale wolno mi z tego faktu wyprowadzać jakieś uogólniające wnioski o Lwowie i jego kulturze?

Nie ośmieliłbym się...

I wolę raczej uwierzyć, że po tem, co odpowiedziano p. Makuszyńskiemu u nas na jego feljeton o Warszawie, on sam swoją prawdę własną umiałby już dzisiaj uzasadnić i szerzej, i głębiej—w sposób bardziej licujący z jego oficerskiemi szlifami w literaturze.

. . . .

Zarówno Kraków, jak i Lwów, znam doskonale i zawsze żywię dla tych murów polskich sentyment, tem żarliwszy, iż każdy kamień majaczy tam jakiemś wspomnieniem z okresu mojej wczesnej młodości, która i dla mnie była pobudką kochania najsilniejszą i najbardziej bezpośrednią.

Zrozumie więc każdy, z jak dobrem uprzedzeniem zwiedzałem te miasta rodzinne w tych dniach uroczystych ubiegłego miesiąca, gdy teatry tamtejsze, zasobne w nowe siły, odświeżone dłuższym wypoczynkiem, otwierały nowy „sezon“ swej artystycznej i społecznej pracy.

Najwcześniej rozpoczynał Kraków—inauguracyjnem przedstawieniem komedji Stan. Rzewuskiego „Nasi na Riwierze“. Rzecz—zrobiona według szablonu przeciętnej farsy francuskiej, oparta na motywie niedoprowadzonej do skutku zdrady małżeńskiej, mogłaby być grana w każdym teatrzyku amatorskim dla umoralnienia dorastającej młodzieży. Gdyby jednakże warto się było ubiegać i u nas o „pokazanie“ tej dowcipnej „sztuczki“ francuskiego Polaka, to idealnie nadaje się ona do wykonania przez wyszkolony personal farsy naszej w teatrze Śliwińskiego Tam odegrano-by ją tak, jak chyba nigdzie na świecie, zwłaszcza, że osobami flirtującemi „na Riwierze“ są „Nasi“, a nie Francuzi. Lecz staranny wysiłek zespołu krakowskiego, aby melodję tę odegrać „passionato“, zdobył się zaledwie na obojętną i bezbarwną poprawność, z poza której wychylał głowę tylko jeden p. Bończa—coś, niby surogat naszego Morozowicza—działający kontrastem refleksyjnego spokoju, a obdarzony sporą dozą siły komicznej.

Ponad ten poziom niezbyt wzorowej poprawności nie wzniosło się również wykonanie klasycznej komedji „Chory z urojenia“ — mimo udatne reminiscencje swej najlepszej przeszłości, którą przypomniał nam p. Siemaszko we wdzięcznej roli tytułowej. Bo nawet i p. Mrozowska, która miała być „gwoździem“ przedstawienia, zmieniła się bardzo i stała się jakaś piszcząca, sztuczna i zamało szczera. Gdy na domiar dowiedziałem się później, że występuje tylko gościnnie i że p. Solski pozbywa się nawet tak poważnej siły, jak p. Wysocka—zrozumiałem, że bruździ tu system oszczędnościowy, stosowany bardzo nieoględnie.

Nowa heroina tej sceny, p. Laura Pytlińska podobała mi się wprawdzie — zwłaszcza od tego momentu swej roli w „Warszawiance“, gdy symbolizuje postać Polski bolejącej—ale głos artystki matowy, cichy i o małej skali nie zawsze pozwala ją słyszeć.

Na ostateczne ustalenie sądu o dzisiejszym teatrze krakowskim rozstrzygająco wpłynęły wreszcie dalsze widowiska w szczegółach wystawy i reżyserji niedbałe, a w niektórych szczegółach wykonania wprost już dyletanckie, więc w całości wyrazu mętne i zamazane przedstawienia: „Sędziów“ i komedji „O człowieku, który redagował gazetę rolniczą“...

Arcydzieła te *) grane także i w Warszawie narzucały mi porównanie...

O, jakże smutne... jakże przykre dla mnie, który jeszcze przed dwoma laty o tej samej porze i na tem-że miejscu, mówiąc o scenie krakowskiej, stawiałem ją teatrom naszym za wzór akademicki, podkreśliwszy z najgłębszem przekonaniem, iż „ogólny nastrój wykonania scenicznego uderza tam właśnie w ów najwyższy, wielki dzwon z pod stropu...“

Jakże dziś?!

---

*) Bo i fraszka twain'owska jest arcydziełem.



Dziś dramat „Sędziowie"—jeśli grają go u nas pp. Knake-Zawadzki, Kawalski, Hryniewicz, Różański, Mirska, Krywultowa—to już naprawdę wzór niedościgły dla Krakowa, to symfonia gry mistrzowskiej, tak artystycznie pogłębionej, że nie przepadnie w niej żaden dźwięk, żaden ton, lecz wszystkie razem i każdy z osobna grają melodję tego najpełniejszego wyrazu, który w Krakowie... zanim się rozkołysał jako-tako—już opadł krzywy, wrzeszczący i połamany, jak ów niezdarny bachór, który spadł z huśtawki, zanim się jeszcze wygramolił na nią.

Dziś nawet nasz „mały" teatrzyk Zalewskiego, ten lekceważony kopciuszek prasy warszawskiej, zwycięża scenę krakowską w komedji „O człowieku, który redagował gazetę", zwłaszcza gdy przypomni się u nas młodziutkiego p. Świeściaka w roli, którą w Krakowie grywa jeden z reżyserów... A muszę tu jeszcze nadmienić, że i młody p. Leszczyński w roli bezczelnego amerykanina zawiele ma, mojem zdaniem, wrodzonej wszystkim Leszczyńskim „grandess'y", że przeto znowu lepszy był w tej roli nasz p. Kamiński, *junior*, z teatru Śliwińskiego.

. . . .

Nieco później rozpoczął się rok teatru Lwowskiego, bardzo szlachetną zapowiedzią imponującego szeregu dzieł rekrospektywnych: Zabłockiego, Czartoryskiego, Bohomolca, Drozdowskiego, Niemcewicza, Bogusławskiego, Kamińskiego, Felińskiego, Dmuszewskiego, Fredry, Słowackiego, Korzeniowskiego, Mickiewicza, Syrokomli, Szujskiego, Chęcińskiego, Świętochowskiego, Blizińskiego, Zalewskiego, Anczyca, Bałuckiego, Przybylskiego, Lubowskiego, Zapolskiej, Rydla, Przybyszewskiego, Gorczyńskiego, Wyspiańskiego i innych z bieżącego repertuaru, które *wszystkie* mają być wystawione w okresie *do 15. maja p. r.*

Jaką mogłaby być *jakość*, a więc i *wartość* tej pracy, gdyby istotnie miała być wykonana w ciągu tak krótkiego czasu (na jednej i tej samej scenie, gdzie równej, a może i większej staranności zabiegów domaga się operetka, którą tłum lwowski, jak każdy tłum na świecie, najgoręcej kocha i popiera) — domyślam się łacno... Mam już po temu dostateczny zasób spostrzeżeń z trzech pierwszych wieczorów tego sezonu

Wiem, że materjał wykonawczy teatru lwowskiego—to wcale pokaźny zastęp wybitnie zdolnych artystów. Przyznaję także, z całem uznaniem dla talentu i pracy p. Hellera, iż dzięki energji i doświadczeniu lat coraz-to większą wykazuje on sprawność w prowadzeniu tej sceny, na której Hamlet w ciągłym kontredansie wymijać musi z gracją ustępliwą różne „Gejsze" i „Wesołe wdówki".

Trudno mi jednak zataić to, co w dziale dramatu i komedji samo rzuca się w oczy... O ile dawniej, w okresie „bomb" teatralnych Anczyca, albo Ohneta, łatwo mógł się p. Glickson obywać *) bez pomocy dramaturga, o tyle dziś — gdy z taką wyłącznością przywilejów wkroczyła już na polskie sceny wielka poezja Wyspiańskich, stylizowany wykwint Nowaczyńskich, a z niemi ten szeroki, retrospektywny pęd ku przeszłości—wprost niepodobna już istnieć bez stałych wskazówek poety, czy estetyka zawodowego, w rodzaju Kotarbińskich, lub Siedleckich.

Tymczasem p. Heller lekceważy sobie ten czynnik pierwszorzędnego znaczenia.

W warunkach tych dzisiejszy aktor lwowski, dobrze zabezpieczony emeryturą, a pozbawiony tego bodźca, który gasnącą iskrę zapału najskuteczniej mógłby w nim rozdmuchać, spełnia swoją powinność, jak spełniać ją może urzędnik prze-

---

*) W Krakowie.

ciążony pracą, jak spełnia ją zbyt forsownie używany automat. A gdy w dodatku zdobył już sobie tytuł „znakomitego“ w rubryce uprzejmych reklam teatralnych — natenczas nic już spokoju jego nie naruszy... I tak zatraca on zwolna całą nadzieję zawsze możliwej rekreacji, wyzbywa się wiary w swoje posłannictwo i sam zaczyna już kochać... operetkę — za jej żywy wdzięk naturalny, bezpretensjonalny humor i piosnkę wesołą. Od bolesnych ciosów krytyki poważnej zasłoni go wreszcie urzędowa wzmianka na afiszu *), która przezornie informuje widzów, iż „*we Lwowie specyalnie pasya krytykowania wszystkiego, dla samego krytykowania, uchodzi podobno za dowód... znawstwa*“.

Rozumiem, że jest-to bat najzupełniej łaskawy dla wszelkiej krytyki z po za rogatek lwowskich, czy ale taktownie użyto go dla Lwowa, gdzie podobne „dowody znawstwa“ są dziś bardziej na miejscu, niż gdziekolwiek indziej — to znowu rzecz inna... Dość, że i mnie ogarnęła tam „pasja“ tego właśnie „dowodowego“ znaczenia.

Za wyjątkiem p. Siemaszkowej, która w liniach bioder i talii jest może za mało powiewna, jak na ponętny przedmiot zalotów „Fircyka“, ale która nic jeszcze nie straciła ze znamion wytwornej, a szczerej artystki—a poniekąd i za wyjątkiem p. Michnowskiej, która ma wiele swobodnej naturalności – wszyscy inni wykonawcy tej lekkiej komedji Zabłockiego „zgrywali się“ aż do siódmego potu tym najbrzydszym wysiłkiem sztucznie wykrygowanej pozy, jakby na pokaz łykom wszelakim, że było-to *Gala-Vorstellung*, przedstawienie — w swej świetności *zgoła wyjątkowe*. I nikt, prócz p. Siemaszkowej, nie pokazał mi tej szlachetnej *łatwości* giestu, która wrodzona jest każdemu artyście, a która jedynie mogłaby mnie zjednać. I nawet p. Feldman, aktor jeden z pierwszych w Polsce, nie umiał jakoś znaleść się w swej roli i raził przesadną lekkością dykcji i ruchów, nieprzystosowanych do jego fizycznej możliwości... Tak, że nie było w tem wszystkiem harmonii — i że całość widowiska nad wyraz nudna była i męcząca.

Do większej i prawdziwej już pasji doprowadziło mnie zachowanie się publiczności na popołudniowem przedstawieniu „Wesela“, które odbyło się nazajutrz. Z przypadkowych pobudek czysto zewnętrznej natury słyszało się na widowni jakiś wstrętny, tłumiony chichot bezmyślnego zadowolenia w momentach najbardziej nastrojowych i najmniej nadających się do śmiechu. I znowu byłaby to wina teatru, że do tej pory nie zdążył jeszcze wyrobić sobie publiczności, ani jej podnieść i usposobić dla siebie, gdyby bezduszne wykonanie dzieła nie było tu poniekąd okolicznością łagodzącą. Tę półsenną wizję gienialnego poety odegrano tak, że nie było tam ani ducha snu, ani ducha wizji, ale była taka sobie drzemka poobiednia panów urzędników, bełkocących nad biurkiem jakieś ważne słowa. Więc chociaż odezwał się zrzadka jakiś ton głębszy, rychło ginął bez śladu—jak łza w atramencie.

Ale najsmutniejszy był dzień ostatni mego pobytu we Lwowie. W dniu tym na katarynce o połamanych dudach, pomiędzy które wstawiono jeden klawisz nowy, ale zato—jak się okazało—zamało ograny, przypomniano mi na pożegnanie fantazję Żuławskiego „Eros i Psyche“. Była-to kakofonia gry tak niedociągniętej, że znowu nie może tu być mowy o przeprowadzaniu jakiejkolwiek analogii... mimo, iż sztuka ta i u nas nie należy przecie do najlepiej granych. Do najwyższego klawisza, jako „Psyche“, rwała się, stając na paluszkach — nie tyle zasłużona, ile

*) Afisz teatru lwowskiego z dnia 15. września b. r.—w artykuliku o przedstawieniach retrospektywnych.

szczęśliwa już „na bezrybiu"—panna Łuszczkiewiczówna. A do wysokości zadania niedorośli tu również i inni wykonawcy ról głównych, których nazwiska wstyd mi na tem miejscu przytaczać, gdyż w innych warunkach mogliby być bardzo użyteczni.

. . . .

Z takim ciężarem wrażeń zdążyłem wrócić do Warszawy, gdzie na otwarcie sezonu przygotował p. Śliwicki dramat Björnsona „Ponad siły", zaś p. Kamiński „Grube ryby" Bałuckiego.

Więc na terenie naszej pierwszej sceny wymowny przegląd sił i środków na dwa fronty rozłożony. W teatrze „Rozmaitości" komedja, we „Wielkim" dramat. Tu w małym obrazku rodzajowym skrawek nieba pogodny i kilka typów charakterystycznych tam sytuacja tragiczna i groza nastroju, tu serca poczciwe i żart niefrasobliwy—tam myśl głęboka i zagadnienie poważne, tu uśmiech życia — tam jego siła, tu polskie—tam ludzkie, tu groteskowa dokładność wystawy—tam wybuchowy efekt żywiołu, tu koncert solistów—tam eufonia zespołu... Cała gama barw i odcieni, narzucająca porównanie—bardzo dla scen galicyjskich niekorzystne...

I choć nie była to jeszcze *największa suma* tego, co teatr nasz dać może, choć nie każdy czynnik otrzymał tu rolę działania najwłaściwszą, choć jedni i ci sami aktorzy robili „ludu gniew", a następnie nienawiść do tegoż ludu, co zasadniczo psuć musiało nastrój dramatu „Ponad siły", to jednak—nie mówiąc już o Krakowie — pewien jestem, że nawet i Lwów dzisiejszy nie zdobył-by się już ani na taką całość, jak wystawiony u nas dramat Björnsona, dobyty ze źródeł najgłębszej szczerości Rolanda i Brydzińskiego, ani na taki kwartet wirtuozów, jaki tworzą w komedji Bałuckiego Wojdałowicz, Frenkiel, Kamiński i Sarnowska, ani wreszcie na taką wystawę, godną zaiste teatru Stanisławskiego, jak to, w swojskości swej takie prawdziwe i sympatyczne, mieszkanie staruszków Ciaputkiewiczów, zadomowione aż do najdrobniejszego szczegółu, począwszy od tego tykającego zegara, wskazującego i bijącego na rozkaz akcji, tającego na szybach mrozu i tej znakomicie dostosowanej ilustracii muzycznej—a skończywszy na tej świetnie dobranej kolekcji charakterystycznych sprzętów i gracików, staroświeckich obrazków i fotografji z portretami Kościuszki w pośrodku i u szczytu.

Słusznie zatem pisze p. Kamiński na łamach popularnego tygodnika „Świat":

„Pierwszeństwo Warszawy pod względem teatralnym nie jest bynajmniej naszą „manią wielkości" jak sądzi p. Makuszyński; nie jest ono niczyją zasługą; jest najprostszem następstwem frekwencyi widzów i płynących stąd nietylko zasobów materjalnych, ale także warunków pracy. Aktor, który musi grać sztukę o sześciu próbach i w tydzień wchłonąć w siebie dwunastoarkuszowe role, które po trzech przedstawieniach zużywa już pod placki, może grać z „zapałem" i z „namiętnością", zwłaszcza z „pasyą",—nawet z szewcką pasyą, jak mówi się podobno w Galicyi,—ale choćby niewiedzieć jaki miał talent, choćby niewiedzieć jaki odpowiadał mu „resonans" na Zarwanicach czy na Kleparzach, wstydzić się musi w gruncie rzeczy za swojego dyrektora i za swoją publiczność; wiem coś o tem, bo i ja długie lata „w Arkadyi żyłem kraju".

Tak pisze p. Kamiński w swej odpowiedzi, danej p. Makuszyńskiemu, a ja dodam jeszcze od siebie, że przeto i operetka nie może być lepsza we Lwowie, niż w Warszawie, gdyż brak jej po temu takiego dyrektora, jak p. Śliwiński, i takiej, jak u nas, frekwencji, która za każdą wystawioną „nowość" przynosi dyrekcji krocie dochodu—na wystawienie nowej „nowości" i na spłatę długów... po operze zeszłorocznej.

Ale też i z tej opery naszej, jak z poczwarki, lęgną się niekiedy motyle, przepiękne, barwne, aksamitne — i jeśli ich obojętność nasza nie zabije — rychło wylatują na szersze horyzonty, aby z kwiatów talentu i pracy spijać słodki miód sławy i uznania.

Motylem takim obecnego sezonu—p. Hanna Skwarecka.



JÓZEF KANTOR.

Pieśń ludowa Podhala.

(Ciąg dalszy).

(Z powodu jubileuszu Kazimierza Tetmajera).

Lecz o ile dużo obiecywali sobie przed ślubem, o tyle po ślubie ciężkie nieraz było ich życie. On taki dawniej wesoły, że „kwitnął mu świat cały", że lasy i góry swym śpiewem rozweselał, dziś śpiewa:

„Lesie mój, lesie mój, lesie mój zielony
Ftos cie rozweseli, kie ja ozeniony."

A jeśli żonę dostał niegospodarną i zeszedł na dziada, na pośmiewisko ludzkie, natenczas biada on:

„Kiedyk sie zenił, miałek konie, woły,
Teraz ni mam kija psa wygnać z obory."

Często umie on jednak swej żonie, dawnej zalotnicy, odebrać wszelkie warunki do dalszych zalotów, a wtedy żali się młoda mężatka, że zamiast wolności używa tylko „smutku i niewole
Nie wolno mi wyżryć za nikim na pole."

A choć ona zażartuje sobie nieraz, że:

„Kieby ja se miała kawalera pana
Nie chodziła byk z grabiami do siana"

to jednak do panów nie mają dziewczęta wielkiego pociągu, bo ani piórko im nie migoce za „kapelusem" ani „kyrpców nie nosą",

„Kochałaby pana, kieby pan podzwolół
Jescebyk go bardziej, kieby wąsy zgolił."

Zresztą całe wieki pracowały u nas nad tem, że wrodzona jest góralowi niechęć do „pana". Więc drwi on z pana, z jego pańskości i chęci opanowania ducha jego:

„Panowie, panowie, bedziecie panami,
Ale nie bedziecie przewodzić nad nami."

. . . .

Pieśni pasterskie zajmują drugie miejsce w piśmiennictwie Podhala i są jakby łącznikiem pieśni miłosnych ze zbójeckiemi. A nawet uważać je można za źródło tych ostatnich, gdyż będąc obrazem życia, spędzanego latem na paszeniu owiec wśród dzikich skał i zbójeckich „okien i komór" — one pierwsze nastręczały góralowi sposobność życia szerszego, więcej swobodnego, niż na roli z natury jałowej i skalistej.

Tam więc zaprawiał się młody juhas do zbójnictwa, tam uczył się zwyciężać przeszkody, patrzeć się nieustraszonym wzrokiem w majestatyczne życie przyrody, rzucać się w niebezpieczeństwa i wychodzić z nich zwycięzko, czy to walcząc z wilkiem, lub niedźwiedziem, czy z juhasem obcym. I wtedy las był dachem, góry komorą, a „listecki" bukowe poduszką. Tam także i miłość pierwsza zniewoliła serce jego dla pasterki. Więc kiedy w późniejszych latach zdarzy mu się przyjść w to miejsce, gdzie pasał owieczki, to z radością napije się studziennej wodzicki
„Z pod tego jawora, ke pasał owiecki."

Wogóle cieszy się juhas swoim „kyrdlem“ owieczek „samiućkich bielicek“, a honor dlań wtedy, kiedy owiec dużo i kiedy są bielutkie, czyste, wykąpane w kryształowej wodzie...

„Owiecki, owiecki
Ładnie kie was mocki,
Kiedy was malućko
Juhasowi brzyćko.
Ciesem sie, kieście mi zdrowiuteńkie sickie
Ino sie nie kalcie, boście wtedy brzićkie.“

Pokarmem dlań wtedy — „cyrpacek zintycy“—i tylko bacowi przymili się czasem i upomni o kawałek sera:

„Ej baco nas, baco nas,
Dobryk chłopców na zbój mas.
Jesce byś jik lepsik miał
Kiebyś syra kojndek dał.“

Zresztą nie wiele się trapi tem, że często brak mu i „kyrpcasków i cuzecki“ — bo

„Łańcuski, spinecki, to som stroje nase
Owiecek kyrdołek pociesynie nase.“

A że wtedy i koszulka na nim brudna — „frajerka“ nie powinna się tem martwić, a tem mniej wstydzić się go, choć u niej koszula, niby u szlachcianki.

„Nie trubuj sie dziewce, choć kosulka brudna
Bo haw na wiersycku o wodzicke trudno.“

Ani też

„Nie wstydź sie dziywcino carnej kosulecki
W miętusiej dolinie skalom jom owiecki.“

(C. d. n.)

+ Zmarł w Warszawie ś. p. **Bolesław Ładnowski**, czynny do ostatniej chwili znakomity aktor-artysta i prawy obywatel kraju. W ciągu długiego okresu swej pracy na scenie zdążył on wszczepić w miljony serc ów niespożyty zasób silnie przeżywanych wrażeń, które w dziedzictwie krwi i świadomości naszej nigdy już nie zginą dla potomnych. Był zatem jego pogrzeb manifestacją czci dla Ideałów poety i człowieka, któremu historja teatru polskiego wystawi pomnik rzetelnej zasługi i chwały. (*jk.*)



PRZEDRUKI LUŹNYCH ZDAN.

BEZ KOMENTARZY.

W numerze 275-ym z dnia 5-go b. m.—w rubryce „*Z ruchu wydawniczego*“— pisze „**Kurjer Warszawski**“:

Strona 3.—łam II. wiersz 33-ci od góry:

„W najświeższym zeszycie *Przeglądu muzycznego* znajdujemy bardzo dobrą próbę przekładów Wagnera, dokonaną przez dr. Zdzisława Jachimeckiego.

Urywek z „Lohengrina“ (rozmowa Lohengrina z Elzą) łączy w przekładzie ścisłość z możliwie artystyczną formą, co w tłumaczeniach dramatu muzycznego jest do osiągnięcia rzeczą bardzo trudną. Zalety pióra dr. Jachimeckiego są również widoczne w urywkach przekładu „Trystana i Izoldy“ oraz „Śpiewaków norymberskich“.

We wspomnianym zeszycie „Przeglądu Muzycznego“ p. n. *„Próby przekładów Wagnera“*—pisze **Zdzisław Jachimecki**:

Strona 12.—łam I. wiersz 1-y od góry:
„Już słodka milknie pieśń; dziś sami my,
Od chwili, gdym cię ujrzał—pierwszy raz,“

Strona 12.—łam II. wiersz 15-y od góry:
„Ach, jak twe imię, coś skrył tak surowo,
Że w szczęście moje wplata dziwny lęk!“

Strona 13.—łam I, wiersz 23-ci od dołu:
„Z całego żaden człowiek świata
Tak szczęsnym się nie może zwać!“

Strona 13.—łam 1. wiersz 2-gi od dołu:
„W dzień jakiś stracę ciebie...“

Strona 13.—łam II. wiersz 5-y od góry:
„Mam liczyć w srogiej męce,
W dniach ilu wrócisz tam?“

Strona 13.—łam II. wiersz 17-y od góry:
„Nieziemska twoja postać
I zesłał ciebie cud;“

Strona 13.—łam II. wiersz 18-y od dołu:
„Nic nie da mi spokoju,
Nie wyrwie z szału mnie,
Jak—choć w śmiertelnym znoju —
Kto jesteś, dowiem się!“

Strona 13.—łam II. wiersz 10-y od dołu:
„Słysz, o co ciebie pytam!“

Strona 14.—łam II. wiersz 2-gi od góry:
„O zstąp ku nam miłości nocy,“

Strona 14.—łam II. wiersz 12-y od góry:
„W piersiach nam dziś słońce się skryło,
szczęście śmieje się gwiazdką miłą
Twój czar mnie błogą siecią spowinął,
przed okiem twojem słodkom się rozpłynął;“

Strona 14.—łam II. wiersz 10-y od dołu:
„to daje ci Trystan,
w tym kraju jest on pan:“

Strona 15.—łam I. wiersz 3-ci od góry:
„Jedno wiem tylko,
Jedno pojmuję:
wszemi zmysłami
złączyć się z wami!
Gdy na nic miecz mój; to się spodziewam,
że dziś was mistrzem sobie wyśpiewam.
Chcę wam dać mą krew!
dla was
Piewcy święty śpiew!“

Strona 15.—łam II. wiersz 7-y od góry:
„Lecz pocoż sam sobie wbijam ćwiek?
Jam przecież jest—ot - prosty człek!...“



W NAWIASIE.

NA TEATRZE...

A gdy już zwolna coraz rzadsze
Pogasną światła na teatrze,
Na scenie wtedy baśń się tworzy
Upojnych serca oszołomień,
Baśń tęczowemi barwy żywa,
Baśń migotliwa,
Co najpiękniejszy blasku promień
Rzuca ci w ciemną głąb twej loży ..

Z otwartych ustek twoich wtedy
Rozkoszna płynie woń rezedy;
Oczy rzucają blaski nowe
I całą cię w niewolę bierze
Uparta, nowa myśl gorąca
Żarnego słońca,
Że chcesz już życiu dać w ofierze
Swe białe skrzydła aniołowe...

I już twych piersi runo śnieżne
Rozchyla wdzięki w krąg rozbieżne,
Jako rozchyla zwój kielicha
Biały kwiat zrodzon w gąszczu nocy.

I znów czar chłoniesz modlitewny,
Tak cudnie śpiewny,
Ze aż się słaniasz w swej niemocy
I w głąb się chowasz—sromna, cicha...

Tam, gdy cię dotknie błysk kinkietu,
Twój brylantowy sznur gorsetu
Gra wtedy tęczą promienistą
I wokół łona róż albańskich
Migoce tak i tak się pali
Na ciemnej sali,
Jak rój robaczków świętojańskich
W lipcową, parną noc gwieździstą...

Więc gdy w lot chwili tej na scenie
Gasną już światła, nikną cienie
I pustka czyni się dokoła,
Bolesna szarpie mną tęsknica
Za tobą, do cię wołająca
O promień słońca,
O jeden uśmiech twego lica,
O jedno słowo.. z ust anioła!

Józef Krobicki.

Wydawca: Józef Krobicki, ul Marszałkowska 125. Redaktor odpowiedzialny: Piotr Ambroziewicz.

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.